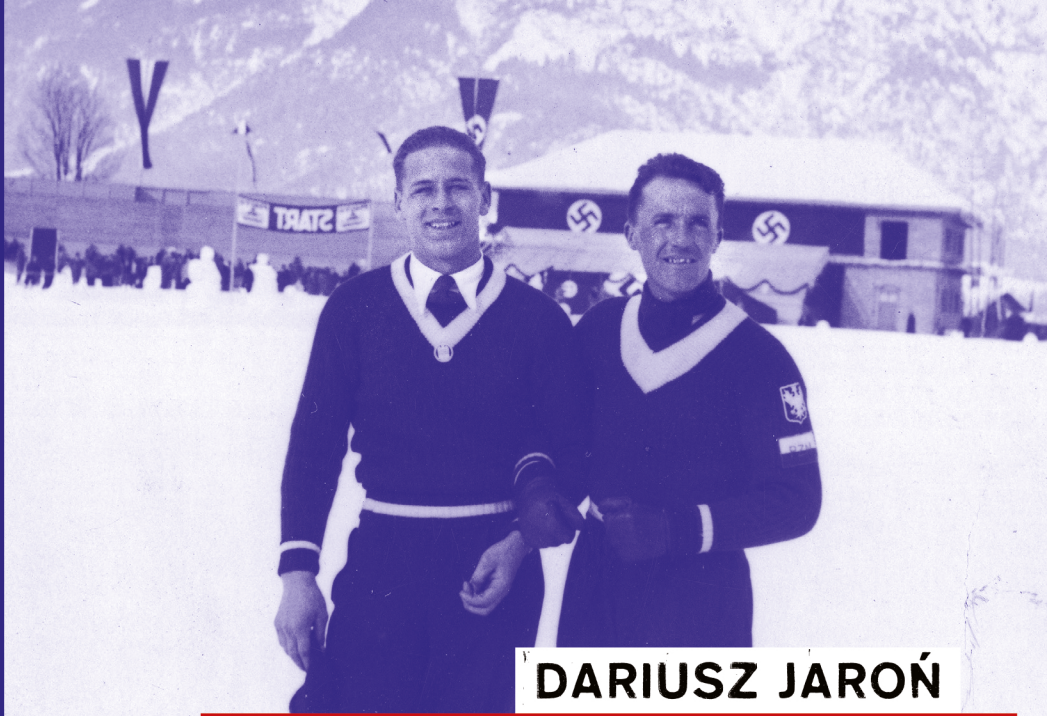

DARIUSZ JAROŃ

SKOCZKOWIE
PRZERWANY LOT

MARGINESY

Byli młodzi i piekielnie zdolni. Przebojem wdarli się do światowej narciarskiej elity. Wojna ze skoczni i śnieżnych tras zesłała ich na kurierskie szlaki, do celi śmierci i obozu zagłady.
Poruszająca historia losów Bronisława Czecha, Stanisława Marusarza i Heleny Marusarzówny.

Co po nich zostanie? Narty i skokanie...*

* *Pierwszy z narciarskiej dynastii. 100 lat SN PTT 1907 Zakopane*, z-ne.pl/s,doc,26807,1,1767,pierwszy_z_narciarskiej_dynastii.html (dostęp 31.10.2019).

Ludziom wolnym –
nawet w czasach zniewolenia

1

Każda stara opowieść kryje w sobie coś z baśni.

Zacznijmy zatem tak, jakbyśmy opowiadali bajkę. Sto lat temu żył sobie pod Tatrami chłopiec. Na imię miał Bronek. W nocy śniły mu się narty. Ci, którzy znali chłopca, zapamiętali, że narty były wiśniowe. Wiśniowe, wymarzone i piękne.

Wyśnione narty były piękne, ale też prawdziwe. Zarezerwowane dotąd dla dzieci zamożnych rodziców. Te mniej majętne musiały sobie radzić inaczej, nadrabiając braki w domowym budżecie pomysłowością i pracą własnych rąk. Deski, sztachety, klepki ze starych beczek, gwoździe, rzemienie, a nawet kalosze mocowane do prowizorycznych nart – w ruch szło wszystko, co mogło im pozwolić ślizgać się po śniegu i gonić szusujących kolegów.

Bronek miał troje rodzeństwa. Dzieci musiały cierpliwie czekać na swoją parę nart, ustawiając się w kolejce sprawiedliwie ustalonej przez metrykę. Pierwsza dostała je Stasia, najstarsza córka Józefa i Stanisławy. Długie, mierzące sto dziewięćdziesiąt centymetrów nieokute deski sprezentował jej podobno Franciszek Goła, góral z Poronina. Dzisiaj powie-

dzielibyśmy, że były toporne i nieporęczne, z jednym ciężkim kijem do odpychania zamiast dwóch lekkich kijków – takie były pomysły pierwszych projektantów narciarskiego sprzętu.

Sto lat temu wysokie niczym koszykarz narty wprawiły Stasię i jej rodzeństwo w zachwyt. Gdyby zapytać dzieci, pewnie by odpowiedziały, że deski miały magiczną moc. Nie tylko niosły po okolicznych stokach i stromiznach, ale też... potrafiły rozpływać się w powietrzu.

„Nieraz narty znikały akurat wtedy, gdy były mi najbardziej potrzebne – wspominała po latach dorosła już Stanisława w książce Alfonsa Filara i Michała Leyki *Laury na śniegu*. – Znikały, dodajmy, razem z Bronkiem, a później, jak zaczarowane, wracały na swoje poprzednie miejsce w komórce".

Kolejne narty w rodzinie, zgodnie z niepisaną zasadą, dostał Władek.

Tata odłożył trochę grosza i kupił je synowi, żeby nie odstawał od rówieśników. Odtąd rzadziej znikały deski Stasi, a Władek, jak na dobrego starszego brata przystało, nie tylko dzielił narty z Bronkiem, ale też szkolił ambitnego chłopca. Po kilku latach naśladowania rodzeństwa, podpatrywania starszych kolegów i zakopiańskich zawodników o uznanej wśród seniorów renomie, zimą 1920 roku nadeszła pora na pierwszy poważny test sportowy nieoszlifowanego dotąd talentu Bronka.

W tych dniach wiśniowe narty musiały śnić mu się częściej. Nic w tym dziwnego. Deski były główną nagrodą w zorganizowanym z rozmachem biegu zjazdowym dwunastolat-

ków. Bronek zapisał się na zawody tylko ze względu na nie. Często przyglądał im się pożądliwie, niczym najdroższym słodyczom, gdy mijał wystawę sklepu sportowego. Profesjonalne deski przykuwały wzrok i rozpalały wyobraźnię młodego narciarza marzącego o tym, by nie mieć sobie równych na okolicznych pagórkach.

Na zawody pod Gubałówkę poszli całą rodziną. Ciepłe koce, wałówka, pewnie też coś do picia – mama zadbała o wszystko. Rodzeństwo miało tylko dopingować brata. Czyje narty tego dnia zniknęły ze schowka? Stasia mówiła, że jej, inne źródła wskazują na narty Władka. To bez znaczenia. Z nadgryzionej zębem czasu relacji przekazywanej z ust do ust wyłania się postać drobnego blondynka, zwinnością i zawziętością pozostawiającego konkurentów w tyle.

Kiedy inni chłopcy się wywracali, wpadali na siebie, nurkowali w śniegu lub tracili równowagę na zakrętach, pożyczone po raz ostatni narty niosły Bronka prosto na metę. Gdy na nią wpadł, wciąż oszołomiony i pełen emocji, mama opatuliła rozpalonego synka pledem i pocałowała w oba policzki.

Oprawa zawodów była szczególna, bo i okoliczności wyjątkowe. Sport w odradzającej się po stu dwudziestu trzech latach zaborów Polsce miał służyć wzmocnieniu tożsamości narodowej młodzieży. Narciarstwo dopiero rosło w siłę, a Zakopane było drugim po Lwowie centrum tej dyscypliny w kraju. Wręczenie nagród odbyło się nie tuż po zakończeniu wyścigu, jak to zazwyczaj bywa, ale wieczorem tego samego dnia w sali Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół".

Tam na najlepszych zawodników czekali bliscy, szkolni wychowawcy i trenerzy, a także klubowi działacze, jak Leonard Zwoliński, znany entuzjasta narciarstwa i zakopiański księgarz. Czekał również Stanisław Barabasz, dyrektor Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem (do której jeszcze wraz z Bronkiem wrócimy). Romantyczna opowieść głosi, że ten pochodzący z Bochni architekt i pedagog był pionierem narciarstwa na Podhalu. Tego będziemy się trzymać, bo nie o pierwszeństwo tu chodzi, lecz o skutki jego działań. Jedno jest pewne: kiedy Norwegowie jeździli i skakali na nartach, w Polsce może pewna grupka ludzi słyszała już o takim wynalazku (szczególnie ci obeznani z Syberią i Skandynawią), ale na myśl o tym, żeby zimą wiązać deski do butów i uganiać się po górskich zboczach, większość pukała się w czoło.

Ale nie Stanisław Barabasz. W grudniu 1888 roku, goszcząc w okresie świąt Bożego Narodzenia na dworze Karola Dettloffa, cieklińskiego zarządcy, postanawia ruszyć na polowanie. Głębokie po pas śniegi uniemożliwiają jednak chwycenie za strzelbę. Ale od czego ma się gen pionierski...

Ze *Wspomnień narciarza* Stanisława Barabasza:

> Wtedy przypomniałem sobie, że dobrze by było zrobić parę takich drewnianych łyżew, celem ułatwienia chodzenia po śniegu, ku zagładzie rodu zajęczego. Z pomocą tedy stelmacha dworskiego [Teodora Poliwki – przyp. aut.] wykonane zostały pierwsze moje ski, i to

> jedna jesionowa, a druga bukowa, gdyż materiału jednolitego nie starczyło. Ale nie szkodzi, dobrze, że i takie są. Ale jak je do nogi przyczepić, aby się ruszać można było? Próbowało się sznurkiem, z początku szło źle, potem coraz lepiej. A więc jazda na dwór, naokoło domu! Naturalnie, chcieliśmy zaraz latać. Skutek tego był zaś taki, że po kilkakrotnym upadku i wstawaniu przy pomocy wszystkich bez wyjątku mięśni, a przede wszystkim języka i gardła, po jednej turze wokoło domu wracało się zziajanym i spoconym ku wielkiej uciesze kobiet, zwłaszcza służebnych.

Dla ścisłości dodajmy, że polowanie się nie powiodło. Stanisław Barabasz i jego gospodarz co najwyżej skutecznie przepłoszyli zwierzynę.

Jak widać w powyższym opisie, z początku narty nie miały nawet swojej nazwy. Stanisław Barabasz zapożyczył norweskie *ski*, mówiono również z rosyjska o *łyżach*. Zanim narty staną się nartami, swoją definicję będą mieli również górale. „Cosi, kieby sonecki, a nie sonecki, bo wązkie, a popyko sie kijem" – mówili, kiedy parę zim później dzielny pionier trafił na dwóch deskach w puste o tej porze roku Tatry. Zdarzyło się to w marcu 1894 roku, gdy wraz z Janem Fischerem udał się na nartach nad Czarny Staw Gąsienicowy. Jedna z desek z pierwszej udokumentowanej wyprawy narciarskiej w Tatrach Polskich zachowała się w zbiorach Muzeum Tatrzańskiego.

Kiedy w 1901 roku Stanisław Barabasz osiadł w Zakopanem, z entuzjazmem zaczął szerzyć wśród miejscowych swoją pasję. Trenował pierwszych zawodników „Sokoła", produkował narty, instruował nauczycieli szkoły zawodowej, a ci przekazywali cenne narciarskie umiejętności swoim uczniom. Organizował też coraz bardziej popularne górskie wycieczki na nartach. Jazda na dwóch deskach powoli stawała się na Podhalu modna.

W grudniu 1907 roku wraz z Mieczysławem Karłowiczem i Mariuszem Zaruskim założył Zakopiański Oddział Narciarzy Towarzystwa Tatrzańskiego – pierwszy klub narciarski pod Tatrami. Właśnie na 1907 rok przypada początek polskiego zinstytucjonalizowanego narciarstwa. W styczniu tego samego roku we Lwowie, pierwszym miejscu w Polsce związanym z tą dyscypliną, powstało Karpackie Towarzystwo Narciarzy zajmujące się głównie turystyką narciarską.

Trzynaście lat później Bronek pod czujnym okiem Stanisława Barabasza, sympatyka nie tylko turystycznego, ale i wyczynowego narciarstwa, odebrał oglądane dotąd przez sklepową witrynę narty, spełniając pierwsze z wielu sportowych marzeń. I chociaż dziecięce zawody z 1920 roku były drobnostką na tle jego późniejszych dokonań, stanowiły ważny punkt w karierze dorastającego zakopiańczyka.

Czechowie nie mogli być bardziej dumni z syna.

Stanisław Barabasz (pierwszy z prawej) i Mariusz Zaruski (pierwszy z lewej) – wielcy popularyzatorzy narciarstwa

Pasję do sportu, pracowitość i nieustępliwość Bronek miał w genach.

Za udział w powstaniu styczniowym jego dziadek Łukasz został karnie wysłany przez władze carskie na Syberię. Po dwóch nieudanych próbach ucieczki podjął kolejną, tym razem skuteczną. Jakim sposobem zwiódł straże i przebył tysiące kilometrów do rodzinnej wioski na Podlasiu – tego już się nie dowiemy. Pewne jest natomiast, że około 1884 roku zbieg z Sybiru opuścił niewielką osadę Karczówka w ówczesnym powiecie włodawskim, pozostawił tam żonę Teresę i wyruszył wraz z trójką synów do Krakowa.

Żeby uniknąć sprawiedliwości ze strony carskich władz, dziadek Bronka zmienił nazwisko rodowe. Łukasz Czechowski (lub Czechowicz, nie ma w tej sprawie zgody) został Łukaszem Czechem, a jego synowie – Jan, Antoni i Józef – rozpoczęli nowe życie pod Wawelem. Cała czwórka zamieszkała przy ulicy Garncarskiej u znajomej ojca, Marii Koźmian. W Krakowie każdy z braci zdobył zawód. Jan został kucharzem, Antoni kuśnierzem, a Józef – kotlarzem.

O pracę w grodzie Kraka nie było łatwo, dlatego – najpewniej już w 1884 roku – Józef zawędrował za chlebem na Podhale.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że Zakopane, chociaż w niczym nie przypominało współczesnego kurortu, stawało się w owym czasie modne. Przyciągało nie tylko letników, zwabionych walorami klimatycznymi górskiej osady, ale też znanych artystów, pisarzy, ludzi nauki i polityków. Do Zako-

panego, rozsławionego przez Tytusa Chałubińskiego i jemu podobnych entuzjastów góralszczyzny, zjeżdżały najważniejsze osobistości epoki.

„Któż zliczył wieszczów i artystów, którzy by choć raz w życiu nie popasali w cieniu limby i w którejś z knajp, modnych wówczas w Zakopanem. Więc Sienkiewicz i Kraszewski, Paderewski, Gerson, Asnyk, Kotsis i Dembowski, Miciński, Witkiewicz, Brat Albert, czyli Chmielowski, Mroczkowski, Tetmajer i Żeromski, Daniłowski i Strug, Reymont i Stasiak, Zapolska, Wojciech Kossak, Axentowicz. Szkoda wymieniać – trzeba by wypisać wszystkie bardziej znane i sławne nazwiska Polaków z każdej dziedziny wiedzy czy sztuki, począwszy od Stefana Batorego po Tymona Terleckiego" – zauważył nie bez cienia ironii w swych zakopiańskich wspomnieniach Rafał Malczewski, kolejna barwna postać przedwojennego Podhala.

Bywanie pod Tatrami, szukanie weny czy toczenie dysput o losach państwa nad kwaśnicą należały do dobrego tonu, dlatego chętnych do goszczenia w nowej zimowej stolicy Polski przybywało, nie tylko wśród znanych twarzy. Zaledwie w ciągu dwóch sezonów – między 1898 a 1900 rokiem – liczba odwiedzających Zakopane podwoiła się: z czterech do ośmiu tysięcy. Niemal równie dynamicznie rosła liczba stałych mieszkańców. Na rozwój miejscowości niemały wpływ miała rozbudowa kolei. Od 1884 roku pociągi jeździły do Chabówki, skąd w kilka godzin furmanką można było dotrzeć pod szczyty Tatr. Na progu nowego stulecia tory dowoziły gości już do samego Zakopanego.

Przybywających trzeba było przenocować, wyżywić i zabawić – a w przypadku pacjentów dodatkowo leczyć – dlatego wraz z szybkim rozwojem osady pojawiły się nowe miejsca pracy. Zatrudnienie znalazło tu również wiele osób z nizin, także Józef. Pracował jako palacz i mechanik kotłowy w Zakładzie Wodoleczniczym doktora Andrzeja Chramca.

Los chciał, że pod koniec XIX wieku z okolic Krakowa, a konkretnie z nieodległej Alwerni, w poszukiwaniu pracy przyjechała pod Tatry Stanisława Namysłowska. Jej stryj, Karol Namysłowski, był założycielem słynnej orkiestry włościańskiej. Uzdolnienia Stanisławy rozwinęły się w nieco innym kierunku – żyła z haftu artystycznego i szycia bielizny. Jej córka imienniczka wspominała później, że mama do Zakopanego przyjechała w towarzystwie ciotki. Kobiety zatrzymały się w zaprzyjaźnionym domu Agnysi Chycowej na Starej Polanie.

Poza pracą Józef i Stanisława w Zakopanem znaleźli miłość. Nikt już nie pamięta, jak się poznali. Pobrali się 17 maja 1901 roku. Zamieszkali w niewielkiej góralskiej chacie przy ulicy Chramcówki 2. Domek miał dwie izby, sień, kuchnię i mały ogródek. Józef kupił go od gazdy Jana Guzika, raty spłacał w czynszu rocznym. Do 1917 roku wywiązał się z warunków umowy. Tu urodziły się Czechom dzieci: Stanisława (1903), Władysław (1906), Bronisław (1908) i Janina (1916).

Spora gromadka do wyżywienia. Stanisława zajmowała się głównie domem i wychowaniem potomstwa. Aby podreperować skromny budżet, rodzina wynajmowała jedną

z izb. Według relacji starszej córki u Czechów pomieszkiwał między innymi znany taternik i narciarz Henryk Bednarski, za drobną opłatą zatrzymywał się u nich również brat ojca Jan.

Mimo licznych obowiązków Józef znajdował czas na realizowanie swojej pasji. To za jego sprawą sport był zawsze obecny w domu Czechów.

„Mój ojciec był zapalonym rowerzystą, a w latach 1910–1917 należał nawet do Klubu Kolarzy w Zakopanem. Często brał udział w zawodach, wiele trenował. Niemal w każdą niedzielę, gdy tylko dopisywała pogoda, można go było spotkać na trasach: Zakopane–Morskie Oko, Zakopane–Chabówka, Zakopane–Nowy Targ lub Zakopane–Stara Wieś. Na zawodach osiągał dobre wyniki, za co otrzymywał różne nagrody, jak: puchary, dyplomy i medale. Nagrody te zachowały się w zbiorach rodzinnych" – wspominała jego córka Stanisława.

Józef, chociaż jego korzenie sięgały płaskiego niczym stół Podlasia, jak na porządnego zakopiańczyka przystało, wnet zyskał sympatię górali i stał się jednym z nich. Był muzykantem, dobrze grał na skrzypcach. Gdy Bronek był małym chłopcem, ojciec uczył go ludowych przyśpiewek.

Oprócz skrzypiec miał dwie strzelby. W lasach szukał z nimi zwierzyny, a jego koledzy – również rozrywki.

„Często chadzał w góry na *polowacke*, jak mawiali jego koledzy spod znaku Świętego Huberta. Nieraz zimą, przed Bożym Narodzeniem, wybierał się do Dzianisza, zwykle z Józefem Chycem, Janem Chramioskim i Jakubem Bogdańskim.

Przeważnie jednak wracał z tych wypraw niezadowolony. Oni chętnie – myśliwskim zwyczajem – zaglądali do flaszki z jałowcówką, a ojciec nie pił" – zapamiętała Stanisława.

Jedynym nałogiem Józefa były papierosy. Zerwał z nim, gdy stuknął mu szósty krzyżyk – podobno obyło się bez upomnień najbliższych i gróźb lekarzy.

Na Chramcówkach Czechowie mieszkali do 1920 roku, kiedy to Józef kupił od Adama Karpowicza drewniany dom przy Rynku 5. Sześcioosobowa familia nie miała już powodu, by narzekać na skromny metraż, pojawiła się również okazja do dodatkowego zarobku dla głowy rodziny. W jednym z pomieszczeń Józef Czech prowadził warsztat, reperując w nim wszystko, co tylko był w stanie. A potrafił niemało – od montażu i naprawy rowerów, przez naprawę zamków, dorabianie kluczy, lutowanie garnków, kantowanie nart czy... wykonanie dekoracyjnej balustrady balkonowej. W zakładzie Józefa, zakopiańskiej złotej rączki, zdawały się nie istnieć zlecenia niemożliwe do wykonania.

Z warsztatu obserwował rozkwit zakopiańskiego narciarstwa, niemiecką okupację i pierwsze lata PRL-u. Interes prowadził przez okrągłe czterdzieści lat. W 1960 roku przekazał warsztat starszemu z synów.

W nowym domu Czechowie wygospodarowali także pokoje dla letników.

Jednym z nich był znany pejzażysta Zefir Ćwikliński. Bronek często towarzyszył malarzowi podczas wypraw w Tatry. Najpierw tylko nosił za nim sprzęt i przygotowywał farby, a po pewnym czasie, kiedy nabrał śmiałości, sam zaczął malować pod okiem mistrza. Piękne tatrzańskie pejzaże, kwitnące krokusy, szałasy, a także góralskie i zbójnickie legendy uchwycone farbą na szkle staną się później znaczącym źródłem utrzymania Bronka i jego drugim po narciarskim kunszcie znakiem rozpoznawczym.

Bronek potrafił też pięknie rzeźbić w drewnie. Sztukę tę próbował opanować na własną rękę, a od września 1924 roku szkolił się na oddziale snycerstwa Szkoły Przemysłu Drzewnego, kierowanej od 1922 roku przez Karola Stryjeńskiego, następcę Stanisława Barabasza, architekta i głównego propagatora powstania wielkiej skoczni narciarskiej w Zakopanem*.

Wcześniej Bronek pobierał nauki w Szkole Ludowej Męskiej przy Nowotarskiej 4 i w prywatnym gimnazjum mieszczącym się w willi Liliana przy ulicy Sienkiewicza. Naukę w drugiej placówce przerwał w marcu 1919 roku, bo – jak podała Halina Zdebska, badaczka jego sportowej kariery – opłaty przekraczały możliwości rodzinnego budżetu.

Artystyczna dusza już nie chłopca, a dorastającego mężczyzny, objawiała się również przez talent muzyczny. Czech

* Założył w tym celu towarzystwo „Park Sportowy", zebrał fundusze, a nawet znalazł cennego sojusznika w wojsku, które pomogło we wznoszeniu obiektu. Budowa Krokwi zajęła przeszło dwa lata (1923–1925), a Karola Stryjeńskiego w projektowaniu wsparł fachowiec ze Szwecji.

grał na skrzypcach, akordeonie i pianinie, ale instrumenty zawsze pozostawały w cieniu pędzla i sportu.

Bronek nie potrafił usiedzieć w miejscu. W przerwach między jedną a drugą zimą nie czekał z założonymi rękami na śnieg. Niosło go coraz wyżej w Tatry, uprawiał lekkoatletykę, a także, pewnie ku uciesze ojca, podobnie jak Władek był zapalonym kolarzem. Zdarzało się, że bracia trenowali wspólnie, pokonując na dwóch kółkach trasę z Zakopanego do Krakowa czy Morskiego Oka.

A gdy tylko na Podhalu robiło się biało, Bronek przypinał narty, by coraz płynniej i szybciej śmigać po Kalatówkach i innych popularnych wśród młodzieży trasach. W oczekiwaniu na kolejny sukces, już poważniejszy, bo odniesiony w zawodach o randze mistrzowskiej, opanował nową dyscyplinę sportu – skoki narciarskie.

Pierwsze skoki na ziemiach polskich oddawano trzydzieści lat wcześniej w Sławsku nieopodal Lwowa. Skakano również w Wiśle, Krynicy i znajdującej się dziś na terenie Ukrainy Worochcie. Ale to Zakopane w latach dwudziestych ubiegłego stulecia było najważniejszym ośrodkiem narciarskim w kraju – nie tylko z racji o niebo lepszych warunków i coraz prężniej działającego zaplecza organizacyjnego, ale również za sprawą skoczni.

Z początku w Zakopanem skakano na obiektach prowizorycznych: wszędzie tam, gdzie dało się odbić i polecieć – przeważnie na kilkanaście metrów. Takie amatorskie próby obserwowano chociażby na Kalatówkach czy Antałówce,

gdzie w lutym 1920 roku wyłoniono pierwszego mistrza Polski – lwowiaka Leszka Pawłowskiego (przy okazji rekordzistę Polski w długości skoku – 14 m). Pierwsza skocznia z prawdziwego zdarzenia została oficjalnie otwarta 8 marca 1921 roku w Dolinie Jaworzynki. Trzy tygodnie później Aleksander Rozmus zdetronizował na niej dotychczasowego mistrza, zdobywając złoto. W kolejnych latach najlepsi polscy skoczkowie będą rywalizować w zawodach odbywających się na terenie dzisiejszej Ukrainy. Aleksander Rozmus w 1922 roku obroni tytuł w Worochcie, a w następnym sezonie w Sławsku zwycięży Andrzej Krzeptowski I.

Na skoczni w Dolinie Jaworzynki można było polecieć nawet na kilkadziesiąt metrów. Tam ćwiczył i podpatrywał doświadczonych zawodników Bronek. A Bronka – Roman Serafin, ceniony fotograf i narciarz, a wówczas podrostek marzący o dalekich skokach.

„Bronka Czecha pamiętam dokładnie od 1925 roku, kiedy to już bardzo często chodziłem do Doliny Jaworzynki, gdzie znajdowała się pierwsza prawdziwa skocznia w Zakopanem. Siedemnastoletni wówczas Bronek uchodził za dobrego narciarza i skakał jak na owe czasy wspaniale. Od wielu innych ćwiczących tu zawodników różnił się przede wszystkim ładnym stylem" – wspominał później na łamach przywoływanych już *Laurów na śniegu*.

Typowy skok, tłumaczył obrazowo Roman Serafin, wyglądał następująco: skoczek po odbiciu się od progu machał energicznie rękami, żeby pokonać uderzający w klatkę pier-

siową pęd powietrza, który hamował lot niezbyt wychylonego do przodu narciarza. Kto lepiej trafił z wybiciem i szybciej przebierał ramionami w powietrzu, ten miał większe szanse na dobrą odległość.

Bronek skakał inaczej. Śmielej. Odważniej. Lepiej od większości kolegów. Roman Serafin:

> Robił umiejętny wyrzut z progu i miał odwagę przy tym położyć się do przodu. Wyglądało to bardzo efektownie, zwłaszcza że nie kręcił jak wiatrak, a tylko wyciągniętymi do przodu rękami parę razy rozgarniał powietrze, jakby płynął. W powietrzu był lekko złamany w biodrach, silnie wychylony do przodu z lekko podniesioną głową. Narty w locie utrzymywał Bronek w idealnie równej pozycji. Taki skok wyglądał ładnie. Nic więc dziwnego, że inni zawodnicy zaczęli wnet naśladować zarówno jego styl, jak i ubiór. Skok miał bardzo lekki i dobre lądowanie z prawą nogą nieco cofniętą i ugiętą w kolanie.

W tym samym czasie kiedy Roman Serafin dołączył do ćwiczących sztukę latania skoczków, a na północnym stoku Krokwi (1378 m) przygotowywano się do uroczystego otwarcia najsłynniejszego do dziś obiektu narciarskiego w Polsce, Bronek odniósł ważny sukces w swojej juniorskiej karierze. Na tyle istotny, że wspomniała o nim prasa.

Młody Bronek Czech

„Przegląd Sportowy" z 5 lutego 1925 roku sporo miejsca poświęcił relacji z narciarskich mistrzostw Polski, które kilka dni wcześniej odbyły się w Krynicy. Z wielu zdań wyłuskuję jedno: „W juniorach doskonale zapowiada się Czech Bronisław". Lakoniczna, jakże celna i prorocza wzmianka została uzasadniona dubletem nastolatka z Zakopanego. Na najwyższym stopniu podium stanął w skokach narciarskich (uzyskując 17,5 i 17 m) i biegu na dystansie dziesięciu kilometrów (1.07:41).

Pochwały zebrał również Władek startujący wśród seniorów. Na skoczni na stokach Krzyżowej (812 m) zwyciężył Henryk Mückenbrunn, wyprzedzając Aleksandra Rozmusa. Dla niegdysiejszego rekordzisty kraju w długości skoku (27 i 38 m w Szumawie) będzie to drugi z rzędu i jeden z siedmiu tytu-

łów mistrza Polski w narciarstwie. Dwanaście miesięcy wcześniej na skoczni w Krynicy również nie miał sobie równych.

Już niebawem do krajowej elity narciarskiej szturmem wedrze się młodszy z Czechów, a jego plecy będą oglądać nie tylko przedstawiciele krajów alpejskich, ale też Skandynawowie – pionierzy ścigania się na nartach i monopoliści w organizowaniu najważniejszych zimowych imprez sportowych świata.

2

Skok w narciarską dorosłość Bronek wykonał bardzo zwinnie.

Płynnie przeszedł od rywalizacji wśród juniorów w sezonach 1925 i 1926 do ścigania się z czołówką seniorów, osiągając po drodze bardzo dobre wyniki na zawodach w Zakopanem, Westerowie i we Lwowie. W 1927 roku był już gotowy do mierzenia się z elitą biegaczy i skoczków narciarskich, niekoniecznie tylko polskich. Potwierdzają to jego wyniki, szczególnie na arenie międzynarodowej.

Dwunastego lutego „Przegląd Sportowy" w relacji z otwartych mistrzostw Czechosłowacji wyróżnia trzech reprezentantów Polski: Władysława Żytkowicza, Kazimierza Schielego i Bronisława Czecha. Niespełna dziewiętnastoletni zawodnik osiąga trzeci czas w biegu na osiemnaście kilometrów w swojej klasie (II klasa seniorów) i szósty wynik w ogólnej klasyfikacji zawodów.

„Sukces Bronisława Czecha" – głosi właściwy akapit w sprawozdaniu Stanisława Faechera, kierownika polskiej drużyny i stałego korespondenta dziennika:

> Z Polaków najlepszy czas osiągnął Czech Bronisław. Jest to szósty czas w ogólnej konkurencji, przyczem za nim znalazł się cały szereg najpierwszorzędniejszych sił. W drugiej klasie (seniorów) zdobywa on trzecie miejsce, przytem podnieść należy, że zwycięzca w tej klasie – Novak (Czechosłowacja) – jest mistrzem akademickim na nartach i znanym pierwszorzędnym biegaczem, mającym za sobą wiele zwycięstw. W tych warunkach, miejsce zdobyte przez Czecha uważać trzeba za prawdziwy sukces.

Po Czechosłowacji przyszła pora na Cortinę d'Ampezzo. Były to największe międzynarodowe zawody narciarskie od czasu pierwszych zimowych igrzysk olimpijskich w Chamonix w 1924 roku i próba generalna dla trenerów, kibiców i samych sportowców przed olimpiadą w Sankt Moritz. Z biegiem lat włoskie rozgrywki, z początku zwane zawodami FIS-u lub mistrzostwami Europy, zyskają rangę mistrzostw świata w narciarstwie klasycznym.

„Dziesięć państw i dwanaście związków narciarskich przysłało na te zawody najlepsze swe siły: Szwecja, Szwajcaria, Niemcy, Włochy, Czechosłowacja, Polska, Francja, Austria, Jugosławia i Węgry były reprezentowane przez najgłośniejsze nazwiska narciarskie – relacjonował Stanisław Faecher. – Brakło na starcie Norwegii i Finlandii po pierwsze dlatego, że Norwegia zajmuje obecnie w narciarstwie stanowisko podobne jak Anglicy w piłce nożnej («myśmy nauczyli

świat narciarstwa i – jesteśmy mistrzami»), po drugie dlatego, że państwa skandynawskie wykonują swą cichą umowę, że gdzie jedno z nich startuje, tam inne nie robi mu konkurencji" – pisał w „Przeglądzie Sportowym".

Nęcąca teoria, ale jednak odrobinę przesadzona. Wygląda na to, że Norwegowie i Finowie zwyczajnie odpuścili sobie wyjazd do Cortiny d'Ampezzo. Wystarczy rzut oka na klasyfikację medalową igrzysk olimpijskich w Chamonix, żeby zobaczyć, że Skandynawowie chętnie konkurowali z innymi narodami, żeby potwierdzić swoją wyższość w narciarskim fachu. W Chamonix Norwegia zgarnęła aż siedemnaście medali, Finlandia jedenaście, zdecydowanie dystansując resztę stawki, w tym Szwecję, która zakończyła zawody z dwoma krążkami.

Prawdziwe jest natomiast stwierdzenie Stanisława Faechera na temat nauczania świata narciarstwa przez skandynawskich szkoleniowców. Z ich kunsztu chętnie – i z dobrymi wynikami – korzystali również nasi zawodnicy. Założony w 1919 roku Polski Związek Narciarski w pierwszych latach istnienia postawił nie tylko na rozwój infrastruktury (budowa skoczni w Dolinie Jaworzynki i na Krokwi), ale też regularnie zapraszał do Zakopanego i Lwowa zagranicznych trenerów. W latach dwudziestych wraz ze skandynawską myślą szkoleniową do Polski przyjechali między innymi Szwed Wilhelm Stolpe i Norweg Bengt Simonsen. Pierwszy z nich rozwinął talenty Józefa Lankosza, Aleksandra Rozmusa, Bronisława Czecha i Stanisława Gąsienicy-Sieczki, sprawiając, że nasi

młodzi zawodnicy zrównali się poziomem z większością europejskich konkurentów, a rekordy Krokwi, gdzie szlifowali formę Polacy, dzięki jego wskazówkom były poprawiane kilkakrotnie.

Wydarzeniem stycznia 1927 roku była pierwsza transmisja radiowa z konkursu skoków narciarskich o mistrzostwo kraju, który odbywał się na Krokwi. *Skoki – przez radio* zatytułowano artykuł z 26 lutego opublikowany w „Przeglądzie Sportowym":

> Świadkiem ostatnich skoków na Krokwi mogła być – bez mała – cała Polska. W niedzielę o godz. 12-tej w słuchawkach radioamatorów zabrzmiało zawołanie: – Halo! Halo! Polskie Radio! Zakopane! Instytucja nasza podjęła istotnie wspaniałą myśl, godną najpierwszych centrów świata. Na trybunie sędziowskiej na Krokwi zainstalowano mikrofon, który był połączony bezpośrednim kablem telefonicznym ze stacją radiową w Warszawie.
>
> Specjalni spikerzy na skoczni zakopiańskiej ogłaszali po polsku i po francusku każdy skok – nazwisko zawodnika i uzyskany wynik. Nikłe słowo pochwycone przez mikrofon biegło kablem przez olbrzymią 500-kilometrową przestrzeń do Warszawy. Drżenie ogarniało słuchacza, gdy spiker sygnalizował skok Czecha, Lankosza, Żytkowicza, Krzeptowskiego. Gdy w końcu Lankosz skoczył 49 m i pobił rekord skoczni, słuchaczów dobiegł

odgłos oklasków i okrzyków tłumu widzów. Chciało się też bić oklaski i wołać: brawo! brawo!

Trener Thorleif Aas pewnie braw nie bił, lecz skrupulatnie przyglądał się, śledząc każdy niepożądany ruch skoczka. Przed najważniejszymi zawodami krajan Bengta Simonsena przyjeżdżał do Polski na konsultacje, cykle treningów i odczyty na temat norweskiego systemu szkoleniowego, które prowadził w znanym nam dobrze gmachu zakopiańskiego „Sokoła". Szpakowaty mężczyzna pracował z polską kadrą między innymi przed wyjazdem do Włoch zimą 1927 roku. Na łamach „Przeglądu Sportowego" ukazała się rozmowa z trenerem, w której ocenił poziom naszych narciarzy.

„Skoczkowie, których widziałem, są bardzo dobrym materiałem, jednak widać po ich skokach, że przez dłuższy czas nie mieli dobrych przykładów i wskutek tego robią wiele błędów, których nie zaobserwuje się u dobrego skoczka. Najbardziej wadliwe pozycje widziałem na rozbiegu i przy odbiciu. Za to chłopcy od 6–10 lat, których obserwowałem na różnych pagóreczkach w Zakopanem, są według mnie świetnym materiałem. Oni to stworzą właściwą klasę polskich skoczków za 10 lat" – prognozował Thorleif Aas.

Norweg przyjrzał się również naszym biegaczom. Uznał, że używają zbyt wysokich i pozbawionych pętli ułatwiających chwyt kijków, wytknął im także zbyt beztroskie podejście do zawodów, których był świadkiem.

> Odniosłem wrażenie, że narciarze nie dali z siebie całego wysiłku, na jaki ich stać. Przychodzili do mety nie zmęczeni, zupełnie na świeżo. Do dużej umiejętności biegacza należy umiejętne wypompowanie się. Albo nie dali z siebie tego, co mogli dać, albo są dopiero w treningu i dochodzą do formy, i może dlatego się oszczędzali. Przy takiej łatwej trasie i tak wspaniałych warunkach śnieżnych (mróz i idealny puch) powinni byli uzyskać lepsze oceny.

W prestiżowych zawodach w Cortinie Aas nie liczył na wysokie miejsca polskich zawodników, ale naukę i zdobycie doświadczenia. Rywalizacja z najlepszymi narciarzami z Niemiec, Austrii, Włoch i Szwecji miała – w jego ocenie – zaprocentować w przyszłości. Co do jednego z kadrowiczów Norweg się pomylił.

Na starcie biegu na osiemnaście kilometrów panuje straszny ścisk. Zgłoszono aż stu trzydziestu zawodników, w tym siedmiu z Polski. Byli to: Franciszek Bujak, Kazimierz Schiele, Bronisław Czech, Władysław Żytkowicz, Andrzej Krzeptowski I*, Aleksander Rozmus i Stanisław Gąsienica-Sieczka. Pięciu ostatnich wystartuje również w kombina-

* W zakopiańskim sporcie lat dwudziestych było dwóch Andrzejów Krzeptowskich. Andrzej Krzeptowski I (1903–1945) był zawodnikiem SN PTT, mistrzem Polski, dwukrotnym olimpijczykiem (1924, 1928) i chorążym olimpijskiej reprezentacji w Sankt Moritz. W czasie II wojny światowej znalazł się w gronie górali popierających Goralenvolk. Zmarł tuż po wojnie po zażyciu trucizny wSzpitalu im. św. Łazarza w Krakowie.

cji, czyli do wyniku biegu dołoży punkty za dwa skoki narciarskie.

Wielkie zainteresowanie zawodami sprawia, że sam start trwa dwie godziny. Słońce przygrzewa, chociaż to dopiero początek lutego. Szczęśliwcy losują niskie numery startowe, więc ruszą na trasę, zanim zrobi się gorąco. Bronek Czech musi długo czekać na swoją kolej – wylosował siedemdziesiąt osiem. Temperatura daje się zawodnikom we znaki. Biegu nie ukończy niemal co drugi z nich, z trasy schodzi między innymi wycieńczony Stanisław Gąsienica-Sieczka. Niezrażony aurą Bronek przybiega do mety jako dwunasty. Przed nim – jedynie elita zawodników z Czechosłowacji, Szwecji, Niemiec i Włoch.

W kraju zaskakujący wynik Polaka uznano za wielki sukces. Na skoczni jeszcze go poprawi, awansując w klasyfikacji generalnej kombinacji na piąte miejsce. Dzięki bardzo dobrym skokom do pierwszej dziesiątki awansuje również Andrzej Krzeptowski (dziewiąta lokata).

W swej korespondencji w „Przeglądzie Sportowym" Stanisława Faecher rozpływa się nad kondycją znakomitego duetu i kreśli świetlaną przyszłość polskiego narciarstwa.

Andrzej Krzeptowski II (1902–1981) był góralem z Krzeptówek i zawodnikiem SN PTT. Olimpijczyk z Sankt Moritz, mistrz Polski, uczestnik zawodów FIS w Zakopanem w 1929 roku. Przez wiele lat prowadził z żoną Marią schronisko w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, schronisko w Roztoce i restaurację „Knieja" w Kirach, położoną niedaleko wylotu Doliny Kościeliskiej.

> Dzięki Czechowi i Krzeptowskiemu znaleźliśmy się w pierwszej dziesiątce zawodników w najważniejszym w każdych zawodach biegu kombinowanym. Zwłaszcza wynik Czecha jest dla nas prawdziwym sukcesem, który należy dobrze ocenić. Dał on nam na 10 narodów 4. miejsce. [...] W tej kolosalnej konkurencji, jaka była w Cortinie, zajęliśmy miejsca zaszczytne, a w kombinacji honorowe. Odgrywamy już poważną rolę w najlepszej klasie europejskiej i przy dalszej pracy potrafimy wznieść się jeszcze wyżej.

Po występach Bronka Czecha w mistrzostwach Czechosłowacji i zawodach w Cortinie d'Ampezzo „Przegląd Sportowy" stwierdza, że młody zakopiańczyk zasłużył na sławę najlepszego polskiego biegacza. Pisano o nim: nasza przyszłość i nadzieja.

Tak jak polski himalaizm nie zaczął się od Wandy Rutkiewicz i Jerzego Kukuczki, tak polskie sporty zimowe nie nastały wraz z Wojciechem Fortuną, Adamem Małyszem czy Justyną Kowalczyk. Jeszcze przed II wojną światową mieliśmy zawodników zaliczanych do światowej elity.

Poruszająca historia trojga wybitnych przedstawicieli polskiego narciarstwa. Bronek Czech był pierwszym polskim zawodnikiem światowej klasy. Staszek Marusarz – niedoszłym mistrzem świata w skokach, a jego siostra Helena miała tak wielki talent, że wróżono jej sukcesy na arenie międzynarodowej. Szanse bohaterów pokrzyżowała wojna. Ruszyli na szlaki kurierskie, by służyć ojczyźnie. Bronek został aresztowany i wywieziony do Auschwitz-Birkenau, gdzie po czterech latach zmarł. Helenę rozstrzelano po trwających rok torturach i przesłuchaniach. Staszek kilkakrotnie wymykał się z rąk gestapo, uciekł z celi śmierci w Krakowie, a następnie przedostał się na Węgry, gdzie doczekał końca wojny.

A w tle Zakopane. W połowie lat 30. w niczym nie ustępowało topowym europejskim kurortom. Przyciągało nie tylko turystów, ale też artystów, pisarzy, ludzi nauki i polityków. Bywanie pod Tatrami, szukanie weny czy dyskutowanie nad kwaśnicą o losach państwa należało do dobrego tonu. Przed wojną miasto tętniło życiem, a po jej wybuchu stało się ważnym punktem na mapie kurierskich tras i uzdrowiskiem, w którym wypoczywali okupanci.

MARGINESY.COM.PL
9 788366 335929
cena 39,90 zł
patronat medialny
Muzeum Tatrzańskie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
Skijumping.pl
lubimyczytać.pl
TATERNIK
patronat honorowy
1919 PZN
w sprzedaży także eBOOK